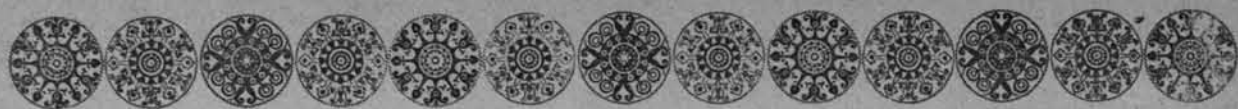


Z NASZYCH KRAJOBRAZÓW.





Soboty i sobótki. ¹⁾

W zeszlórocznej „Ziemi” (str. 470) i lwowskim „Ludzie” (t. XVI. 221) ogłosiłem rodzaj wywiadu w sprawie sobót, t. j. „podcieni”, jakie napatykamy przy starych naszych kościołach drewnianych i dzwonicach. Ponieważ podobne podcienia bywają i przy wiejskich domach w górach, miałem nadzieję, choć bardzo małą, że może do sobót przybędzie jaki nowy szczegół. To zupełnie zawiodło, ale natomiast pojawił się w „Ludzie” (t. XVI. 285—290) artykuł dra M. Tretera, objaśniający soboty ze stanowiska historii architektury, artykuł, w którym znalazłem stwierdzenie dwu nader ważnych dla mnie rzeczy: a) że soboty zowią się inaczej zamsze; b) że soboty to podcienia wyłącznie przy kościołach, gdyż podcienia przy domach świeckich nigdy się tak nie nazywały i nie nazywają. Że zamsze to samo, co soboty, wiedziałem już z książki, zacytowanej w wywiadzie i skądinąd, a co do sobót, domyśliłem się, że one tylko przy kościołach się tak zwaly, i dlatego w wywiadzie o ten szczegół wyraźnie zapytywałem, ale stwierdzenie tych faktów przez człowieka, który te rzeczy zna dokładnie, było dla mnie jako filologa, który ze sprawami architektury nie zawsze może być tak obznajmiony, jakby tego pragnął, rzeczą wielce pożądaną.

Dalszych wyjaśnień z powodu mego wywiadu próżno, zdaje się, czekać, więc już choćby przez wdzięczność dla dra Tretera winienem podać, co z mego filologicznego stanowiska o sobotach myślę, a może też także i moje przedstawienie rzeczy wywoła dalszą dyskusję, która się przyczyni do rozjaśnienia sprawy dotąd tak bardzo zagadkowej.

Skoro zamsze to samo, co soboty, to warto wiedzieć filologicznie i rzeczowo, co one są, bo to może rzuci jakie światło i na sprawę sobót.

Niestety i zamsze, o ile wiemy, dotąd nie wyjaśnione (przynajmniej filologicznie, bo nie wiem dobrze, jak się ta rzecz ma w architekturze), więc, jak we wszystkim, o czym niżej przyjdzie nam mówić, tak i w tej rzeczy, oprócz się będziemy mogli wyłącznie niemal na własnych studiach.

Zamsze, jak soboty, nie wyjaśnione, ale nie brak przecież wskazówek, które do wyjaśnienia doprowadzić mogą. Wiem przynajmniej, zdaje mi się na pewne, skąd ten wyraz pochodzi i co pierwotnie znaczył. Bezpośrednio otrzymaliśmy go z Niemiec, gdzie wyraz *S ä m i s c h l e d e r* lub w skróceniu *S ä m i s c h* oznacza „irchę”. *S ä m i s c h* brzmiało po niemiecku niezawodnie także *S a m i s c h*,

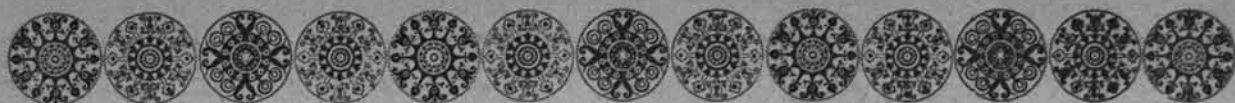
skąd czeskie *z a m i s* „ircha”, a także *S a m s c h*, skąd nasze *z a m s z*, *z a m e s z*, *z a m s z a* i rosyjskie *z a m s z a*, *z a m s z i n a*. Ani w Niemczech, ani u nas nie oznacza to skóry z jakiegoś ściśle określonego zwierzęcia, lecz wogóle skórę na sposób irchy wyprawioną. Lecz jakkolwiek wyraz ten przyszedł do nas z Niemiec, nie jest on przecież niemiecki; Niemcy otrzymali go z Francji, gdzie brzmi obecnie *ch a m o i s* i znaczy „gjemza, skórka gjemzowa, ircha” i gdzie *ch a m o i s e r* znaczy „na zamsz wyprawiać”. Francuzi zaś posiadają ten wyraz w spadku po łacinie ludowej, jak świadczy włoskie *c a m o s c i o* „gjemza, skóra gjemzowa”, a *c a m o s c i e r e*, „na zamsz wyprawiać”.

Takie więc jest pochodzenie naszego zamszu i takie pierwotne jego znaczenie; pytanie teraz jak wyraz, który oznaczał skórę, wyprawioną na zamsz, przybrał u nas (a prędyj jeszcze niezawodnie zagranicą) także znaczenie „podcieni, sobót”?

Jak do tego przyszło, łatwo zrozumiemy, skoro sobie przypomnimy, że w Biblii mówi się nieraz „pod skórami” zamiast „pod namiotami”¹⁾; że łacińskie *c u t i s* „skóra” brzmi po niemiecku nie tylko *H a u t* „skóra”, ale także *H ü t t e* i znaczy „chata”;²⁾ że łacińskie *s c u t u m* „skóra”, oznacza w tymże języku także „tarczę”, bo tarcze pokrywano skórą; że tenże sam wyraz brzmiał w dyalektach także *s c o t u m* i oznaczał „chatę” i to, co z nią było złączone „bydło, mienie”; że w tem znaczeniu dostaje się do nas i jeszcze w staropolszczyźnie oznacza bydło; że dostaje się także do gotów i Niemców, u których brzmi dzisiaj *S c h a t z* i oznacza „skarb”. A mieliśmy i *s k u t y*, z niemieckiego *s z k u t y*—skórąmi okryte statki wodne. A i nasz czysto słowiański wyraz *p i e l e s z e* „siedziba, mieszkanie”, tudzież *p i e l u c h y* zrozumiemy należycie dopiero wtedy, kiedy zważymy, że to ten sam wyraz, który po niemiecku brzmi *F e l l* „skóra”, a po łacinie *p e l l i s*—„skóra”. Więc to i my mieszkaliśmy niegdyś „pod skórą”, skutkiem czego „*p i e l e s z e*—„skóra” przybrała z czasem znaczenie „siedziby, mieszkania”; więc to i my,

¹⁾ Zob. Biblia król. Zofii z r. 1455. (wyd. Maleckiego) str. 249 a: „Ja bydlę w domu cedrowem, a skrzynia zaślubienia pod skórąmi jest”.

²⁾ Zob. Fried. Kluge. *Etymologischer Wörterbuch der deutschen Sprache*. Strassburg 1905.



maleństwa nasze, podobnie jak Niemcy, ¹⁾ okrywaliśmy przed wiekami, nie mając jeszcze płótna, pieluchami, t. j. „skórami”, skutkiem czego potem nazwa ta przywarła na wieki do obsłon dziecięcych, choć później znalazło się dla dziatwy nie tylko płótno, ale i jedwab.

Nad stołami kramarskimi wzdłuż domów na rynku rozpościerano dla zasłony przed słońcem i niepogodą budy, dachy zamszowe, które razem formowały podcienia, i oto skąd z a m s z został „budą” i „podcieniem”. Gdy podobne podcienia na wzór Greków i Rzymian poczęto budować w wiekach średnich przy kościołach i domach prywatnych dla celów handlowych czy osobistej wygody, cóż dziwnego, że te podcienia nazywano nie tylko z łacińska solaria (od sol — słońce), skąd staroniemieckie söllre, dzisiejsze Söller,²⁾ ale także przez podobieństwo do z a m s z ó w również z a m s z a m i.

Zupełnie takuteńko ma się rzecz z niemieckim wyrazem Laube (staroniem. loubā, średnio-niemieckie loube, „loub „chatka, hala”), używanym dzisiaj tylko w złożeniach, jak Gartenlaube „altana” lub niedawno jeszcze Tuchlaube „sklepek z suknem”, czyli jak u nas mówiono w liczbie pojedynczej „sukiennica”, a w l. mn. „sukiennice”.³⁾ W czasach historycznych jest to znowu budka kramarska, jak z a m s z, i tak samo jak z a m s z przybrała w Norwegii, gdzie brzmi lob, w znaczeniu „podcieni” kościelnych czyli naszych sobot.⁴⁾ Jakie znaczenie pierwotne tego wyrazu, Niemcy już nie wiedzą, ale my wiedzieć możemy, gdyż wyraz ten pozostawił po sobie w naszym języku niezatarte ślady. Od niego to bowiem poszedł wyraz łub i łuba (porów. pałuba) w znaczeniu „kora, skóra”. Łubem czyli korą pokrywają w górach po dziś dzień chaty leśne, a niegdyś pokrywano nim także wozy, sanie, jak świadczą cytaty z pisarzy dawniejszych w Słowniku Lindego. Łubem „skórą”, objano niegdyś kolasy pańskie, sajdaki, tarcze, robiono łuby podróżne do pakowania rzeczy, o czym każdy wie dobrze choćby tylko z powieści Sienkiewicza. Pałuba oznacza w staropolszczyźnie „osłonę wozową, nakrycie” i wogóle „osłonę, zasłonę”. Więc też powiada Marcin Bielski: „Nie zgasi ognia tego pod tą pałubą”.⁵⁾ W rosyjskim języku pałuba ozna-

cza „pokrycie wozowe i okrętowe”. Pałuba a także po ł u b e m przez podobieństwo do łubu z obdarzonego pnia nazywano pień wypróchniały lub sztucznie wyłobiony. To też w Władysławie Twardowskiego, czytamy: „Czołny z jesionowych wyrobiwszy połubów, Dnieprem się puszczają”. Od takiego pnia wypróchniałego przezywano i stare kobiety pałubami.

I otoż znowu jak przy zamszach od kory i skóry, którą pokrywano budki kramarskie, przyszedliśmy do znaczenia hal, sklepów kupieckich i podcieni kościelnych.¹⁾

Ale skoro Laube = lob = z a m s z, a z a m s z = s o b o t a, to wynikłoby stąd, że soboty nasze były pierwotnie podobnymi „nakryciami, budkami, chatkami”, jak lauby, loby i z a m s z e, więc gdy coś podobnego powstało przy naszych kościołach, nazwa przeniosła się do podobnych przy nich podcieni. Gdyby się wszakże takie przypuszczenie zrobiło, to trzeba by zaraz dodać, że jeżeli istotnie były u nas także budki i chatki, zwane sobotami, to musiały być zdawna związane wyłącznie ze świątyniami i służyć celom religijnym, gdyż soboty łączą się u nas wyłącznie z kościołami, a nie jak lauby, także z domami świeckimi. Ale, czy coś podobnego znajdowało się przy naszych świątyniach pogańskich?

(DCN)

S. Matusiak.

□□□□□□□□□□

¹⁾ Na oznaczenie kory i skóry mieliśmy w językach słowiańskich i po części mamy jeszcze wyraz łup, łupa, łupia, łupież. Łupieżami t. j. skórami płaci się jeszcze u nas w XV wieku kary sądowe, jak świadczy tłumaczenie praw Kazimierza W. i Jagielly z r. 1449, a łup w języku słoweńskim dzisiaj jeszcze oznacza skórę, stąd i łupina i łupić „ze skóry zdzierać” i łup „zdobyć” a raczej to, co z kogo złupiono, zdarto. Z tym słowiańskim wyrazem w związku niewątpliwym pozostają niemieckie wyrazy Läufel „łupina” a zwłaszcza z orzecha i Luft „kora drzewna” zapewne także Laub „liście” (zbiorowo), pierwotnie zapewne „osłona”, (Unter dem Laube des Waldes, der Bäume znaczyłoby pierwotnie „pod osłoną lasu, drzew” potem dopiero „pod liściem”) tudzież wyraz Laube, o którym mówiliśmy wyżej. Nie jest rzeczą wykluczoną, że tak Laub jak i Laube są pochodzenia słowiańskiego (Laub = łup, Laube = łupia), w takim razie wyraz łup byłby w językach słowiańskich tylko rewidkacją wyrazu pierwotnie słowiańskiego. Ale wdawać się w te rzeczy na tem miejscu nie możemy, niech zresztą rzeczy te rozstrzygają kompetentniejsi w tych sprawach.

¹⁾ Karl Weinholt. Die deutschen Frauen in dem Mittelalter (Wien 1882) str. 101.

²⁾ Fr. solier — „szpiżarnia”, włoskie solaja, solare „powala na izbie”.

³⁾ Po czesku loubí, podloubí „podcień, hala, budka”.

⁴⁾ Noreweskie lob przyszło z Niemiec; iaczej brzmiałoby low.

⁵⁾ Zob. Słownik Lindego.



Ciemne gliny jury brunatnej upadają na wschód pod wapienie płytowate, te zaś pod skaliste (jura biała). Dalej pokłady kredowe ciągną się prawie do Chęcina. W Wolbromiu na północ od stacyi z okien wagonu dobrze widać torfowisko, stanowiące dział wodny dorzecza Przemszy i Szreniawy. Wzniesienie nad poziom morza wynosi tu 380 m., dzięki czemu stacya Wolbrom jest najwyżej położonym dworcem kolejowym w Królestwie. Przez pewien czas okrążamy torfowisko, poczem wjechawszy na terytoryum kredowe, uważam wycieczkę i rekapitulację za skończoną.

Kończąc, chciałbym tym czytelnikom, którzy nie czują sympatyi do nazw greckich i łacińskich, wyjaśnić, że nie urządziłem bynajmniej wyprawy naukowej; był to tylko siedmiodniowy spacer po najpiękniejszych i bardzo ciekawych zakątkach kraju. W dzisiejszych czasach, kiedy ludzie chorują na przecywilizowanie, oderwanie się od źródeł życia i kultury na czas pewien wpływa bardzo dodatnio, a obcowanie wyłączone z przyrodą

i jej niezwyrodniałym tworem — ludem jest antidotem na truciznę moralną, jaką wnosi do życia cywilizacya współczesna.

Opisana wycieczka była jednak spacerem planowym, przejrzałem bowiem wszystkie formacje mezozoiczne, allodium i procesy dynamiczne, dążące do zniszczenia skorupy ziemskiej. Stronę historyczną pomijam w sprawozdaniu, gdyż nie uważam za rzecz właściwą przepisywanie odnośnych informacyi ze „Słownika geograficznego”, jak się to u nas praktykuje, skoro bez trudności każdy z czytelników może je sobie sam odnaleźć.

Jeszcze słówko. W czasach bojkotu niemieczyny używam słów niemieckich, ale nie czuję się upoważniony do tworzenia dziwolągów językowych, a nauka u nas nie jest jeszcze tak popularna, ażeby np. dreikanter miał nazwę polską

Stanisław Leacewicz.



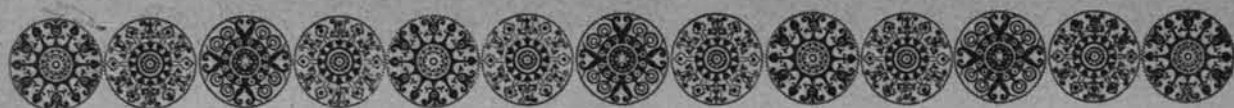
Wejście w zimie na szczyt Rysów.

Przed dwunastu laty Tatr jeszcze nie znałem. Zębaty łańcuch Tatr ukazał mi się po raz pierwszy w jesieni 1899 r. z okien wagonu, gdy po zapaleniu płuc, wyprawiony przez lekarza, zamierzałem roczny urlop przepędzić pod Tatrami. Lekarz wprowadził w ostatniej chwili zląkł się surowego klimatu tatrzańkiego i cofnął swe polecenie, ale ja się nie cofnąłem i, korzystając z dopiero co otwartej linii kolejowej do Zakopanego, wyruszyłem z rodziną do Bukowiny, wioski pod Tatrami, wyżej niż Zakopane położonej, gdzie kolega w zawodzie ks. G. ofiarował mi willę z swą na mieszkanie.

Wtedy to zaznałem, co za dziwny, powiedziałbym magiczny wpływ wywierają Tatry. Od chwili ukazania się na horyzoncie groźnego wału poszarpanego, nie mogłem oderwać od niego wzroku, a gdy z Nowego Targu przybyliśmy późnym wieczorem do Bukowiny, myśl o Tatrach zbudziła mnie wcześniej następnego ranka, 3 listopada, i pobiegłem do okna, aby zobaczyć słynny widok z Bukowiny.

I zaiste! Tatry powitały mnie ustrojone w całą swą cudowną krasę. Pokryte śniegiem nabierały z oddalenia barwy szafiru, gdy regle i strome, niepokryte śniegiem turnie tonęły w granatowej barwie. Cały zachwyty jednak zwracał się ku szczytom, które oplomienione szkarlatem wschodzącego gdzies za horyzontem słońca, żarzyły się i grały całym widmem barw słonecznych — od najczystszej fioleto w cieniach do najognistszej purpury wprost rozświetlonych pól śniegowych.

Od chwili tej Tatry zapanowały nad mym umysłem. Korzystając z biblioteki taterniczej ks. G., zapalonego turysty, rzuciłem się do studyowania map i dzieł o Tatrach, marzyłem o nich w dzień i w nocy, począłem robić wycieczki przynajmniej na „Głodówkę”, aby oczy nasycić słynnym stamtąd widokiem, a gdy ks. G. przyjechał do nas podczas świąt Bożego Narodzenia, nie wahałem się — rekonwalescent, któremu już powietrze tatrzańskie siły wracało — zrobić 31 grudnia pierwszą mą wy-



cieczkę w Tatry przez Roztokę do Morskiego Oka.

Wycieczka ta mimowoli przypominała się, gdyśmy znów w roku ubiegłym z ks. G., z którym nieraz już w Tatrach byliśmy, planowali wycieczkę zimową w Tatry. Wycieczkę jednak niebezpieczną, bo chcieliśmy zdobyć w zimie od strony Morskiego Oka najwyższy z polskich szczytów — szczyt Rysów. Ks. G., słynny taternik, już od dwóch lat kuśił się o to nadaremnie — bądź to awiny — bądź inne okoliczności uniemożliwiły mu osiągnięcie celu. Porobił on też z całą starannością przygotowania do naszej wycieczki, w której miał wziąć udział także profesor gimnazjum tarnowskiego, przyrodnik p. D., oraz jeden z najlepszych przewodników zakopiańskich, Jakób Krzeptowski, zwany Wawrytką.

W drugi dzień świąt Bożego Narodzenia wybraliśmy się wieczorem do Zakopanego z p. D., gdyż ks. G. niespodziewanie zatrzymany miał dopiero za 1 lub 2 dni podążyć za nami. Licząc, że w pociągu nocnym wyśpimy się — zawiedliśmy się najzupełniej. Taki natłok podróżnych, szczególnie królewaków, jadących do Zakopanego był w pociągu, że nie tylko o spaniu, ale nawet o wygodnem siedzeniu nie było mowy. Mimo to, przybywszy po 6-tej rano do Zakopanego i zostawiwszy część bagaży z ciężkich worków w hotelu, wybraliśmy się z p. D. we dwóch do hali Gąsienicowej.

Niestety! ciężka droga nie została wynagrodzona żadnym widokiem. Gdy wyruszyliśmy z Zakopanego nie był stan pogody beznadziejny i można się było spodziewać, że góry, które przez mgły przeglądały, około południa oczyszczą się. Tą nadzieją popędzani nie dbaliśmy o syпки śnieg, w którym nogi mimo nałożonych harpli zapadały się dość głęboko, nie dbaliśmy o zimny wicher, który, rwąc śnieg złodowaciały ze zboczy, uderzał nim w twarz, klując ją jak szpilkami — i parliśmy naprzód przez Boczoń. Nadzieja nas jednak zawiodła, gęsta chmura pokryła wszystko, — a jednak mogliśmy się czuć szczęśliwi, przynajmniej do hali doszliśmy i znaleźli kuchnię schroniska niezamkniętą. Tu też zgotowaliśmy na wodzie ze stopionego śniegu posiłek — poczem nastąpił powrót do Zakopanego.

Wycieczka ta dokuczyla nam — w dodatku p. D. całą noc, drugą już nie zasnął — nic więc dziwnego, że gdy nazajutrz ks. G. przybył do nas, p. D. z wycieczki na Rysy zrezygnował i z Zakopanego wyjechał.

Ten dzień jednak wskutek wahania się p. D. straciliśmy, a jakkolwiek był pochmurny i ze śnieżycą, na dojazd do Morskiego Oka mógł być wyzyskany. To też, gdy następnego cudnego poranka zimowego jechaliśmy sankami do Morskiego

Oka, całą radość psuła nam myśl, że moglibyśmy już iść na Rysy, a następnego dnia, kto wie — jaka może być pogoda. Słoneczny dzień szczególnie jednak nadawał się na zdjęcia fotograficzne — to też nie zaniedbywałem sposobności, aby z każdego piękniejszego widoku zrobić zdjęcie stereoskopowe. Inteligentny przewodnik Wawrytko zaraz zrozumiał, jak może mi być przy tem pomocnym, przez co czasu wiele nie traciliśmy i przed 3-cią popołudniu dojechaliśmy do Morskiego Oka.

Tonęło ono już w głębokim cieniu. Słońce skryte gdzieś za Mięgoszowieckie turnie oświetlało tylko Niżne Rysy, które oślepiającą bielą odrzynały się od błękitnego cienia na śniegu. Tuż nad gładką płaszczyzną śniegową, pod którą spało Morskie Oko, jakiś malarz zakutany w futro szybko zamalowywał płótno oparte o sztalugi, raz po raz spoglądając ku zmartwiałym turniom; w dali na polu śniegowem jakieś czarne punkciki: to dr. Sawicki i dwaj górale. Dr. Sawicki robi pomiary temperatury wody na różnych głębokościach Morskiego Oka. Na brzegu kilka osób zapatrzonych w niezwykle swą martwością i grozą obraz, a ze schroniska wysuwa się mała drużyna panien i mężczyzn, przywiązują narty i znikają za wzgórzem.

Udajemy się do schroniska, gdzie wyznaczają nam pokój, w którym mamy zanocować, a przede wszystkim zrobić przygotowania do wycieczki. Planem naszym było przejść przez Rysy i dobić przez Popradzkie do Szczybskiego jeziora. Spoglądając jednak na nasze ciężkie worki i rozważając drogę przez zasypy śniegowe, dochodzimy do przekonania, że więcej nad 8—9 kilogramów w każdym worku brać nie możemy i że część naszego ładunku należy zostawić w schronisku — przez co też i wrócić do niego musimy.

To mając na uwadze, rozdzielamy około 28 kg. ładunku między nas trzech, przyczem naturalnie ja biorę głównie nieodłączny uniwersalny swój aparat fotograficzny, ks. G. głównie wiktualy a Wawrytko liny, obok czego każdy z nas ma jeszcze dość do dzwigania w worku, nie licząc zimowego ubrania i ciężkich czekanów góralskich.

Noc przepędzamy w letniem schronisku — mimo temperatury poniżej zera w pokoju — stosunkowo dobrze, dzięki kilku kocom na każdym łóżku, a szczególnie wspaniałemu powietrzu, które inaczej krew ożywia i pędzi ją po ciele. To też wstajemy wypoczęci i z dobrą otuchą, tem bardziej, że gwiazdy na niebie mówią nam o pogodzie. Około godziny 5^{1/2}, przypiąwszy narty dla bezpieczeństwa, wyruszamy przy latarniach wprost przez Morskie Oko ku ścieżce do Czarnego Stawu, i wspinając się po zawałonej śniegiem grobli, stajemy nad Czarnym Stawem, gdy już światło dzienne pozwala nam zgasić i złożyć latarnie.



Za nami śnieżne pole, pod którym wiele tysięcy lat mające tajemnicze głębiny — przed nami także sama śniegowa przestrzeń z głębią wód, a dokoła niej świat wrogi: królestwo zimy. Zimno też i groza wieje od tych zwałów śniegu i od sterczących nad nim szronem i lodem oszadziały martwych skał. Zwisające sople i zamrzle ścieżki wodne mimowoli trwogę budzą na myśl, że trzeba będzie iść po nich, czepiać się ich i wspinać wciąż i wciąż, tu stąd, z wysokości 1585 m. jeszcze wielekroć wyżej niż najwyższe wieże kościołów.

Na razie jednak droga wydaje się mniej niebezpieczna, a więcej uciążliwa. Przeszedłszy przez Czarny Staw zaczynamy się znów wspinać po stromym śniegu, tak sypkim, że stopy opierają się dopiero o twarde podłoże zlodowaciałej skały. Śnieg ten sięga jednak miejscami prawie do pasa i z ciężkim trudem toruje nam przewodnik drogę, którą jednak sypki śnieg w części zasypuje, tak, że i my z księdzem ciężko pracować musimy.

Nogi ślizgają się pod śniegiem i musimy założyć „reczki”. Od czasu do czasu „duchamy”, poczem następuje dalsza praca, wstrzymujemy się jednak od spoglądania za siebie, aby potem naraz użyć wspaniałego widoku.

Na jednym takim przestanku przewodnik nasz wyrzuca całą piersią okrzyk, który odbijając się o skały ginie gdzieś w oddali — dostaję jednak za to upomnienie od ks. G., że zbudzić może lawinę, która teraz, gdy zbliżać zaczynamy się do zbiegu żlebów pod „Grzędą”, mogła nas zmieść w jednej chwili i pogrzebać na zawsze.

Pod tą wiszącą nad nami groźbą prujemy śnieg dalej w milczeniu. Oddech ciężko się wydobywa, pulsa tętnią jak młoty, z czoła pot kroplami ścieka, a dłoń rozpalona przez rękawice topi śnieg, którym od stóp do głów jesteśmy ubrani i rękawice nasycają się wkrótce wilgocią. Wreszcie i przewodnik, idący dotąd na przodzie, traci zupełnie siły i przysiadł na śniegu, prosząc mnie, który szedłem trzeci

w szeregu, czybym go nie mógł zastąpić. Przerzynam się tedy naprzód i zaczynam prowadzić. Wbijam czekana w śnieg przed sobą i opierając się na nim, obiema rękoma, ciągnę się do góry, torując kolana-
mi wyłom w śniegu. Po kilku minutach takiej pracy, dostaję zawrotu głowy i sędzę, że dalej iść nie zdołam. Pokonywam się jednak, pcham się

automatycznie dalej i wyżej, i gdy po dłuższym czasie przeciągu stajemy i oglądamy się, pokazuję się, żeśmy się spory kawałek podnieśli w górę.

Pewnego zadowolenia doznajemy, mijając złowróźbny zbieg żlebów, i gdy dostajemy się do grzędy — połowa drogi skończona.

Połowa! — tymczasem jednak trzeba pomyśleć o posiłku, trzeba nabrać sił, których tak wiele jeszcze potrzeba, bo wznieśliśmy się ponad Czarny Staw około 470 m., a jeszcze prawie taką samą wysokość w trudniejszych warunkach zdobyć mamy.

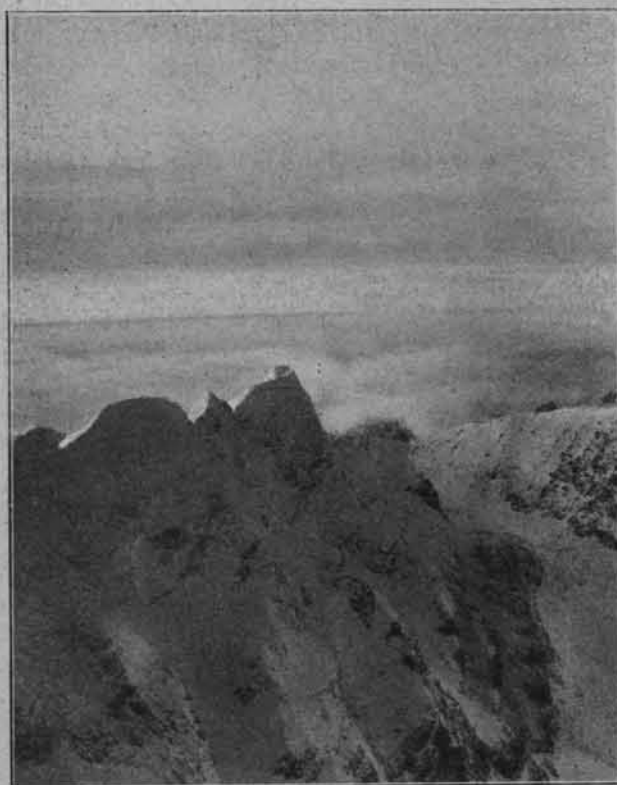
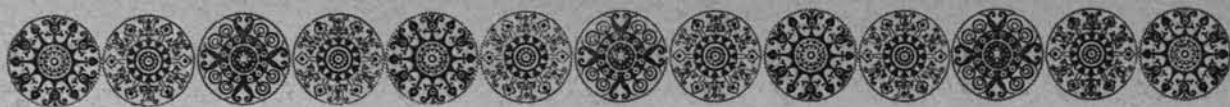
Przystajemy więc i przedewszystkiem w cichej kontemplacji

spoglądamy z wysokości 2060 m. ku dolinie Rybiego Potoku, na dymiące oparami turnie Miedzianego, na siniejące w dali śnieżne pola i granatowe lasy doliny nowotarskiej — ja zaś wydobywam aparat, aby w stereoskopowym zdjęciu zczarować nazawsze nastrój niezapomnianego widoku.

Wypoczynek i posiłek nie trwają długo, bo obawiamy się, że na dotarcie do szczytu dnia może nie starczyć. Opuszczamy jednak na razie żleb, tak śniegiem zawalony, że przedrzeć się nim nie sposób, i wdzieramy się na zlodowaciałą grań grzędy. Niema czasu jednak wiązać się liną — wdzieramy się jak możemy po skorupie lodowej, chwytając się zębami raczków, które mamy pod obuwiem, a ostrzem czekana każdej wklęsłości i szczeliny lodowej. Niebezpieczeństwo zaczyna grać na nerwach i gasić szybciej pozostałe siły, mimo to wdzieramy się prędzej po twardym lodzie. Znowu jednak w żleb musimy się spuścić, trzymając się jego le-



WIDOK Z RYSÓW KU DOLINIE RYBIEGO POTOKU *fol. B. Łaxarski.*



WIDOK Z RYSÓW KU ZACHODOWI
MIEGUSZOWIECKIE TURNIE

fol. B. Łazarzki

wego zbocza — znów brniemy przez śnieg i zmieniamy się z przewodnikiem, oczy mając w cel nasz utkwione, który zbliża się ku nam powoli ale statecznie,—aż wreszcie docieramy do stromej ściany szczytu, którą obchodzimy głównym żłebem i docieramy do przełęczy.

Stanęliśmy w krytycznym punkcie drogi. Od szczytu oddziela nas kilkadziesiąt tylko metrów, które w lecie przy pomocy klamer przebywa się w kilkanaście minut. Teraz jednak wszystko pokryte lodem i śniegiem i śladu żelaza dojrzeć nie można. Tu już bez liny obejść się nie możemy — byłoby to wprost niesłychaną lekkomyślnością. Zatrzymujemy się więc nad niebezpieczną przewieszką śniegową, która nawiana nad przepaścistą ścianą wydaje się wygodną ławką, trącona czekaniem spada jednak w pyle w niewidzialną głębinę.

Ks. G. wydobywa swój „termofor”, aby pokrzepić nasze siły bulionem z żółtkami, który jeszcze gorący do tego czasu się przechował.

Jest to dla nas uczta nad uczty, bośmy dotąd tylko napół zlodowaciałą czarną kawą palące pragnienie gasili i siły podsycali. Ks. G. zdejmuje jednak przy tem niebacznie rękawice i potem napowrót wdziać ich nie może... Mroźny wiatr w jednej chwili zamienia je w bryły lodu.

Wiążemy się liną i na komendę ks. G. worki mamy zostawić na przełęczy. Wydaje się bowiem

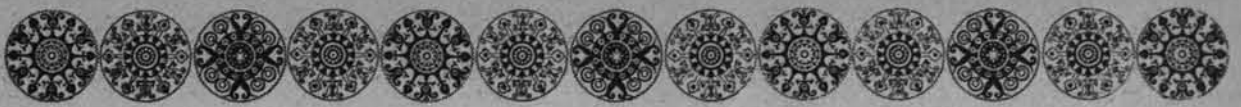
szaleństwem brać ciężar na tak ryzykowne przejście. Mimo to nie chcę się dać nakłonić, abym zostawił worek, a z nim aparat, i gdy Wawrytce udało się przejść przez punkt najniebezpieczniejszy, apeluję do niego i z workiem na plecach, trzymając się liny, przechodzę i ja do Wawrytki, poczem obaj opierając się silnie o skałę asekurujemy wdzierającego się ks. G. W ten sam sposób idziemy dalej. Obok nas głązy pokryte dziwnej formacji lodem. Składa on się jak gdyby z lusek, które pod dotknięciem z szelestem rozsypują się; śnieg wskutek erozyi wiatru wygląda jakby jaka alabastrowa zastygła lawa, błyszcząca na szczytach spiętrzonych fal. W kolo jakby świat zaczarowany — wymarzony. Tak fantazyja przedstawia sobie okolice podbiegunowe, tylko że tu jesteśmy wysoko ponad ziemskim życiem, bo oto stanęliśmy na szczycie—na wzniesieniu 2503 m. Jest godzina 3 $\frac{1}{4}$, słońce, chyląc się ku zachodowi, roztacza już wieczorne zorce, które pomarańczowym pasem oddzielają fiolety oparów ziemi od seledynowego nieba. Na wschodzie potężny trzon Lodowego łączy się z Łcmmnicą i z niesłychaną potęgą zda się wzbijać pod niebo nad zalewające go od wschodu fale mgły. Straszne przepaście oddzielają nas od potężnych olbrzymów — zaścielać je zaczynają głębokie cienie, w których oko i myśl toną ze zgrozą.

Za to cudowny widok ku zachodowi. Pomiędzy



WYSOKA Z RYSÓW

fol. B. Łazarzki.



WIDOK Z RYSÓW KU WSCHODOWI

fol. B. Łazarski.

grzbietami górskimi, pomiędzy śnieżnymi szczytami całe pole chmurk ozłocone słońcem, którego strzały rażą oczy, potęgują złudzenie, że rozciąga się pod stopami jakaś lekko sfalowana równina, po której przejdziesz na drugi szczyt—i trzeci—i ten ostatni—Krywań.

Wszystko to błyszczy, promienieje, wyrzuca polyski i gra dziwną mieszaniną barw zimnych i gorących. Zwracamy się ku południowi. Przed nami królowa turni tatrzańskich: Wysoka. Szlachetnym swym kształtem i nieskalaną bielą ściąga oczy ku sobie — najpiękniejsza;—wobec niej ginie nawet majestatyczny szczyt Gierlachowski.

Chłonę cały obraz w siebie, chwytając go równocześnie na płyty fotograficzne. Trzeba się jednak śpieszyć. Nietylko zbliżająca się noc, ale i towarzysze przypominają mi to, zajętemu zdjęciami. Mróz taki dotkliwy, że nie mogę ustać na miejscu, i tylko gorączka fotograficzna dozwala mi ku podziwowi Wawrytki operować metalowymi kasetami i wykonać 3 zdjęcia. Czwartego już niestety nie mogę dokonać. Ks. G. z naciskiem żąda, aby powracać, bo grozi nam noc i zmarznięcie i po godzinie 3 $\frac{1}{2}$ zaczyna się schodzenie. Z początku idziemy w podobny sposób, ubezpieczając się liną, a gdyśmy dotarli do przełęczy, skąd ks. G. i Wawrytko zabrali swe worki, próbujemy po śniegu zjeżdżać głównym żłebem. Stromy żłeb przepuszcza nas szybko,

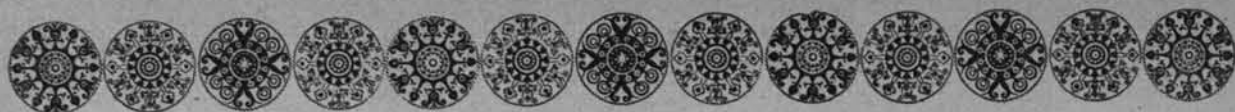
poniżej jednak jazda nie idzie tak łatwo. Zamiast bowiem sunąć po wierzchu, zagrzebujemy się prawie po szyję w sypkim śniegu i jedziemy wprawdzie, ale nie sami. Sunie także cała masa śniegu, która byłaby pewnie, gdybyśmy się wczas nie spostrzegli,—dała początek lawinie i runęła w dół, grzebiąc nas niezmierną swą masą.

Idziemy więc już w dół nie próbując jazdy, i odczuwamy w stosunku do temperatury na szczycie przyjemne ciepło, chociaż ja mam naprz. śnieg topniejący na plecach pod koszulą. Im niżej się spuszczaemy, tem cieplej się wydaje; stajemy nad Czarnym Stawem o zmroku, i przeszedłszy go, z latarniami spuszczaemy się po grobli do Morskiego Oka. Przechodzimy je swobodnie, choć tonie odczuwamy pod nogami, uważając tylko, by nie wpaść w którą z przerębli dr. Sawickiego. Cisza w powietrzu, które takie jakieś ciepłe z lubością wchłaniamy w nasze zmęczone płuca. Jeszcze jeden wysiłek — wdzieramy się po ślizkiej spadzistej ścieżce od jeziora do schroniska. Godzina 6 $\frac{1}{2}$ —ktoś z nas rzuca okiem na termometr — jest 10° C. poniżej zera.

W schronisku witają nas serdecznie, i dowiadujemy się, że przez cały dzień śledzono z werandy przy pomocy lornetek nasze wdzieranie się na szczyt.

Bolesław Łazarski.





U ŹRÓDEŁ WISŁY. 1)

CHARAKTER GÓR.

Gmina Wisła rozłożyła się wielkim, nieregulowanym czworobokiem w Beskidach Zachodnich, stanowiących jakby przedłużenie Karpat Zachodnich, galicyjskich, u źródeł Wisty, zajmując obszar około 3 mil kw. czyli mniej więcej 150 klm. kwadratowych.

Cały ten obszar, zarówno jak dalsze okolice, aż do Tatr wysokich jest pokryty pasmami górskimi. Beskid Zachodni nie posiada jednak znacznej wysokości; średnia wysokość szczytów tutejszych wynosi około tysiąca metrów nad poziom morza. Najwyższa jest Babia góra (1725 m.), ale od niej do Wisły daleko, nie może ona przeto wchodzić w zakres wycieczek dla osób bawiących tutaj. Najbliższe góry wznoszą się mniej więcej do tysiąca metrów, są więc dostatecznie wysokie, żeby dawać rozległy i piękny widok, posiadają zaś nieocenione zalety dla tych, co dla jakichkolwiek powodów nie mogą wdzierać się na strome pochyłości i na znaczne wysokości.

Obfitość za to ścieżek i ta okoliczność, że w górach mieszkają, nawet na znacznej wysokości, górale, pozwalają w razie zabłądzenia zapytać o drogę, albo też szukać schronienia podczas burzy.

Trzeba tylko pamiętać o tym, że podczas deszczu trawa staje się bardzo śliska, podczas zaś upałów, kiedy mchy leśne i igliwie wyschną, także łatwo się na nich poślizgnąć i upaść na ostry kamień. Trzewiki o grubej podeszwie i nieprzemakalne są nieodzowne.

Góry wiślańskie są przeważnie porośnięte gęstymi, dobrze zagospodarowanymi lasami iglastymi i liściastymi — bukowymi. Lasy te, należące do arcyksięcia Fryderyka, bratanka cesarza Franciszka, są dla każdego dostępne, pod warunkiem, żeby nie płoszyć i nie niepokoić w jakikolwiek sposób zwierzęcy. Powietrze w tych okolicach odznacza się przedziwną czystością i balsamiczną wonią. Na polanach pomiędzy lasami rośnie soczysta trawa, dostarczająca paszy dla licznych krów i owiec. Górale sprzątają tutaj siano, jeszcze bardziej podnosząc aromat powietrza na wiosnę w czerwcu czy lipcu i na jesieni we wrześniu.

Ta dostępność gór tutejszych w połączeniu z obfitością lasów daje Wiśle prawo pierwszeństwa przed wszystkimi letniskami górskimi na równinach położonymi.

Wody także tu nie brak i to doskonale. Co kilkaset kroków widzimy albo słyszymy maleńki strumyk szemrzący w trawie czy po kamieniach.

Na wycieczkach napotykamy liczne źródelka, z których śmiało można gasić pragnienie, bo woda jest nie tylko bardzo smaczna, chłodna, ale i zdrowa, czysta.

Wchodząc na jakąś górę, widzimy, jak okoliczne wyniosłości kładą się coraz bardziej pod nasze stopy, aż nareszcie równamy się z ich szczytami. Na każdym kroku przytem odsłaniają się zdumionemu wzrokowi nowe krajobrazy, jedne piękniejsze od drugich. Powinniśmy pamiętać zawsze o tem, że najbardziej malownicze widoki mamy z gór średniej wysokości. Przedmioty widziane z odległości niezbyt znacznej nie maleją jeszcze tak, jak wtedy, gdy je oglądamy ze szczytu bardzo wzniesionego, nie ustępują na trzeci plan. Z wysokich wierzchołków takiej Czantoryi, np. ze Stożka Wielkiego, z Baraniej, można się zachwycać rozległymi panoramami, bezmiarem przestrzeni, błdzić okiem po morzu stalowem, pobrużdżonem głęboko dolinami, przysłoniętem mgłą. Z niższych zaś szczytów, jak Kamienny, Bukowa, Wyrch Skalnity i t. d., zamiast panoram oglądamy urocze krajobrazy, które pod względem malarskim stoją daleko wyżej. Dobrze więc uczynimy, rozpoczynając nasze wycieczki od gór niższych; raz dla tego, że tam znajdziemy daleko więcej widoków, powtóre zaś dlatego, że powoli przywykamy do wdzierania się na spadzistości, nabieramy wprawy w chodzeniu i wytrwałości.

Jedną z najpiękniejszych wycieczek jest wycieczka na górę **K a m i e n n y**, sięgającą pokaźnej wysokości 790 m.

Na **K a m i e n n y** można się dostać kilkoma rozmaitymi drogami: najłatwiejsza, najmniej uciążliwa droga prowadzi przez willę „Warszawa”, przez pastwiska, potem przez ładną drogę leśną, dobrze zachowaną, która dawniej wiodła do kamieniołomów, dziś już zarzuconych. Od kamieniołomów, przez lasek dziesięć minut zaledwie od szczytu.

Druga droga, znaczona niebieskimi znakami przez Beskiden Verein, zaczyna się tuż koło willi „Koliba”, idzie najprzód przez górkę Jarzembatą, z której piękny widok na całą dolinę Wisły, na wieś, na kościoły i na wille, dalej pastwiskami dostajemy się do lasu bukowego, stamtąd zaś na szczyt.

Droga ta jest jednak więcej przykra, aniżeli pierwsza, posiada za to daleko więcej widoków. Z Kamiennego widzimy jeszcze raz dolinę Wisły i wieś, ale już silnie zmniejszoną z powodu większej odległości: panorama jest dość rozległa, widać stąd Stożek wielki, Wyrch Skalnity, Magórkę, Baranią, ku północy zaś Klimczok i miasteczko



Skoczów. W głębi doliny ku południowemu wschodowi błyszczy w słońcu wstęga Wisły i jej dopływy. Jeżeli wracamy w kierunku Bokowej przez wyższe polany, i potem lasem, do potoku Pinkasów, to możemy zboczyć jeszcze bardziej na prawo, do doliny Tokarni i dojść przez Dobkę do szosy,

prowadzącej z Ustronia do wsi. W ten sposób robimy odrazu dwie wycieczki.

Na wycieczkę do szczytu Kamiennego trzeba wszystkiego 3 godziny czasu. Idąc przez Ustroń pięć godzin co najwyżej z małym odpoczynkiem.

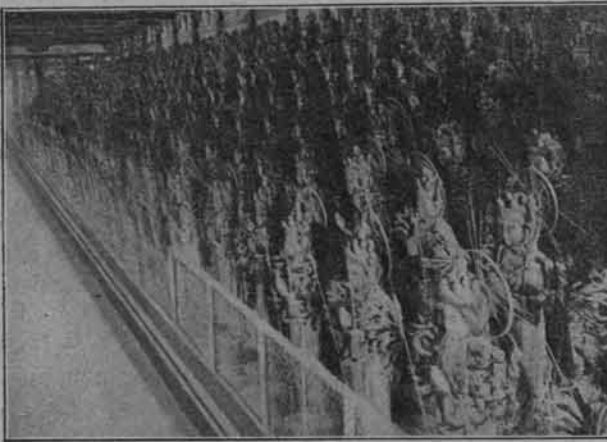
(GDN)

Władysław Umiński.



Japonia i japończycy. ⁽⁷⁾

Kilka wrażeń i rozmyślań z podróży na Daleki Wschód.



TYSIĄCPOSAGÓW BOGIN ŁASKI—KWAN-NON W KIOTO.

Taką gorączkową ale planową działalność rozwijają japończycy we wszystkich kierunkach, a suma i skutki tej pracy ujawniają się najwymowniej w stosunkach handlowych, a zwłaszcza w obrotach morskich. W tym kierunku predestynowała przyroda japończyka na zwycięzcę we wszystkich współzawodach. Gdzież naród, który jak japończycy rozporządza flotyllą rybacką, liczącą niespełna pół miliona łodzi, który jałowością i ciasnotą gleby nękany śle dwa i pół miliona ludzi, by w walce z prądami i zawieruchą, przewijając się na czólnie między groźne rafy, wyrwali morzu to, czego im poskapła ziemia?

Dla narodu jednak, który w takiej szkole życia dojrzał, jest wszelka praca czy walka na morzu igraszką. Potrzeba było floty handlowej, więc się temu zadość stało, a stało się też w ciągu ostatniego dziesięciolecia.

Pojemność japońskiej floty handl.	1899	1908
typu europejskiego wynosiła	618	1481
tysięcy tonn.		

Rozwój jednak floty japońskiej jakkolwiek imponujący i bezprzykładny nie wytrzymuje jednak żadnego porównania z rozwojem sprawności i obrotności tejże floty. Obrót towarów na wybrzeżach japońskich wzrósł w latach 1899—1907 przeszło sześciokrotnie, a udział floty japońskiej w tej robocie wzrósł z górą dziesięciokrotnie! Handel morski Japonii przybrał dziś takie rozmiary, że tylko jedna wobec niego pozostała potęga; inne, głośnie są Japonii niemal rówieśnikami.

Handel Japonii, w którym ona takie roztańcza blaski, to już jawna, choć bezkrwawa i z formami międzynarodowej uprzejmości prowadzona walka. Zamiast wywodów niech znowu mówią wymowniejsze cyfry. Japoński obrót handlowy z Chinami wzrósł w ostatnich ośmiu latach o 327 procent, z resztą Azji o 337 procent, z koloniami angielskimi w Azji tylko o 123 procent. A wzrost handlu z koloniami angielskimi istotnie w latach 90-tych szalony spowodował popłoch i akcję ratunkową, która, jak uczą przykłady, na dalszą nie działała metę.

Dziś stan władania handlowego Europy sięga w Azji tak daleko, jak daleko sięgają wpływy siły natury politycznej; reszta Azji oddała się duchowo i materialnie Japonii.

Ale europejczyk jest niepoprawny. W chwili, gdy się rodził i na świat wyjrzał, uznał swym nieodświadczonym umysłem i słabo zaprawionymi zmysłami, że ziemia jest płaska, że on—człowiek,



jest środkiem ziemi i całego wszechświata, że jego czyny są przedmiotem historii powszechnej. A choć później europejczyk wznosił się wyżej, patrzył dalej i, egarniając wzrokiem całe koryto Medyteranu, orzekł, że ziemia jest szeroka od południa ku północy, a długa od zachodu ku wschodowi, nie przestał tkwić w swym błędzie, że ziemia dla europejczyka, że poza nim nikt nie tworzy. Gdy w ciągu historii poznał jeden, drugi i liczne swoje błędy, do nich się nie przyznawał... historia powszechna to jego dzieje, więc Amerykę odkrył tylko europejczyk! Ducha myślącego, twórczego, odkrywającego nie masz poza Europą! A jeśli z biegiem wieków „odkrył” europejczyk zbyt wiele swoich błędów, gdy poznał, że ziemia jest kulą, na której się roi od narodów wielkich, możnych i twórczych, rozpoczął je badać i przyszedł do przekonania, zbliżonego do myśli, którą począł już w kolebce, że narody są różnowartościowe, a najdoskonalszym ich przedstawicielem jest on właśnie-europejczyk. Tę prawdę, która w historii powszechnej do tej pory innem „odkryciem” nie została zaprzeczona, popiera europejczyk dwoma argumentami. Jeden z nich jest natury historycznej, drugi geograficznej. Wszak historia wykazała, że ilekroć narody zamorskie dzięki europejskiemu odkryciu weszły w kontakt z Europą, uległy jej; czyż to nie oczywisty dowód większej siły duchowej? Podczas gdy jednak żaden naród nie stawiał Europie skutecznie czoła, podczas gdy wiele z odkrytych przez Europę narodów na skutek zetknięcia się z tą potęgą znikło z powierzchni ziemi, na te same pustkowia przesiedlony europejczyk stał się natomiast jedynym niebezpiecznym dla Europy wrogiem; potęga jest przyrodzoną właściwością tylko europejczyka!

Argument geograficzny miał tę prawdę i proce historyczny uzasadnić. Nic łatwiejszego! wszak kula ziemską dzieli się ze względu na rozmieszczenie lądów i mórz na siedzibę rodu ludzkiego, przeważnie lądową półkulę północno-wschodnią i pustą morską półkulę południowo zachodnią. Wieńcem lądów otoczona króluje w środku Europa, wyzyskująca i świadoma swego centralnego położenia, z którym żadna inna część świata się mierzyć nie może, jeśli chodzi o władztwo nad lądami; w samym zaś biegunie półkuli lądowej położona Anglia spełnić miała tę rolę nad zamorskimi lądami, jaką ongi spełnił Rzym, położony na centralnej baryerze Medyteranu w chwili, gdy medyterańskiemu europejczykowi się zdawało, że świat jest płaską, długą a szeroką tarczą.

I trudno zaprzeczyć pewnego związku przyczynowego między geograficznym położeniem Europy a jej rolą historyczną. Ale rozzuchwaleni dziedzi antropocentrycznego systemu helenów starożytnych, rozszerzywszy swe apetyty na całą ku-

lę ziemską, którą umysłem ogarnęli, zapomnieli, że kula z ówu półkul, lądowej i morskiej się składa.

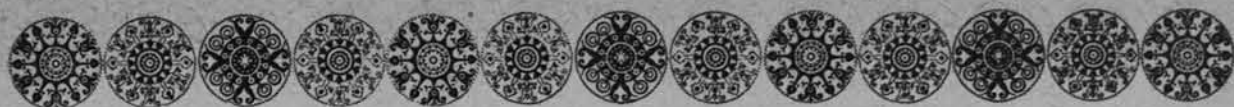
W tym jednak układzie lądów korzyści, wynikające z centralnego położenia Anglii czy Europy muszą słabnąć w miarę powiększającej się odległości od środka, a niknąć zupełnie na obwodzie, oddzielającym półkulę lądową od morskiej. Na tym to obwodzie, na tej linii krytycznej politycznie i kulturalnie lub w jej pobliżu leżą zachodnie krainy obu Ameryk, Afryka południowa, długa linia archipelagu japońskiego poza tym obwodem, w środku półkuli morskiej leży Australia, wszystko to terytoria, geograficznie ukwalifikowane do wytworzenia samoistnych ognisk historii powszechnej. Myśli tej dalej snuć nie będę, powiodłaby mię za daleko, zadowolnię się postawieniem wniosku, że obok atlantyckiego istnieje na kuli ziemskiej wielkie pacyficzne boisko historyczne. Na boisku atlantyckim rozegrała się historia powszechna w sensie europejskim, a na horyzoncie tej historii mroczy się widmo walki o Atlantyk między Europą a Ameryką. Na boisku pacyficznym tworzyły się różne ogniska historyczne, Azteków, Inkasów, wielkie wreszcie i prastare ognisko wschodnio-azyatyckie. Potężny, 3000 km. długi wieniec wysp japońskich, oblany, więc osłonięty z jednej strony bezdnią największego oceanu, opasuje wschodnio-azyatyckie ognisko ze wszech stron, korzysta ze wszystkich jego dobrodziejstw kultury, unika wszelkich klęsk kontynentalnej zawieruchy... Japonia, a Anglia!

W europejskim pojęciu historii powszechnej, w poczuciu Europy do władztwa nad światem leżał zaród największego istotnie powszechno-historycznego konfliktu, czeka najbliższą przyszłość nieunikniona walka o Pacyfik.

Nie wątpię ani chwili, że w wielkim tem zmaganiu się ognisk historycznych ze względu na silnie wykształcony indywidualizm chiński kierownictwo walki obejmie na czas dłuższy Japonia, Europa zaś w następstwie co najmniej chińskiego zindywidualizowania swych społeczeństw, a przede wszystkim z powodu odległości od pola walki, jeśli w niej nie ulegnie, to wyjdzie silnie osłabiona.

Narody małe, które w międzynarodowym, europejskim wyścigu ekonomicznym, nie zdołały odegrać znamiennejszej roli, a zwłaszcza narody, które nie miały europejskiej kulturze właściwego ducha zaborczego, które mają swe posady w Europie, jej więc najpierwej uległy, narody, które w zaciszu swej pogwałconej ojcowizny roją nowe idee i marzenia przyszłości, te narody w osłabionej Europie odżyją.

Tak więc małym i uciśnionym światu już po raz wtóry—ex Oriente lux!



W szkicu tym, na który się złożyły przede-
wszystkiem własne spostrzeżenia i wrażenia, posłu-
giwałem się między innymi głównie następującą
literaturą.

Archibald Little. The Far East. Oxford. 1905.
Henry Dyer. Japan in World Politics. Lon-
don. 1909.

John Murray. Handbook of Japan. VIII
Edition. London. 1907.

Y. Takenob a K. Kawakami. The Japan
Year Book for 1910. Tokyo-London.

L. Richard. Comprehensive Geography of
the Chinese Empire. Shanghai. 1908.

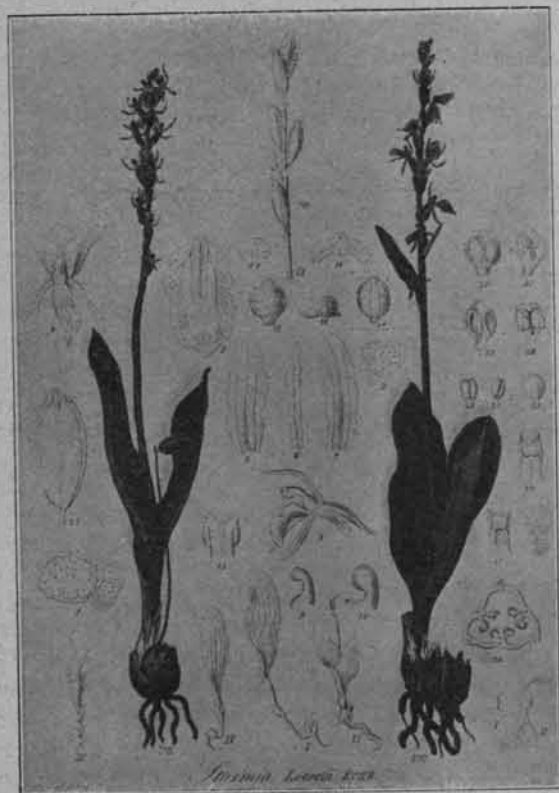
Statistical abstract for the several British
Colonies etc. f. Y. 1891—1905. London. 1906.

Ściślej geograficzne wrażenia z odbytej podró-
ży ogłosiłem pod tytułem: „Flüchtige Reiseein-
drücke aus dem Innern und von den Rändern
Asiens” Mitteilungen geogr. Gesellschaft w Wie-
dniu 1911. zeszyt 1—5.

Dr. Eugeniusz Romer.



Ze skarbów naszej przyrody. 18



15.

Liparis Loeselii Rich.

Lipiennik Loesela.

Łodyga zmieniona, w formie cebulki gąbcza-
stej, opatrzonej łuskami żółto-zielonemi—wydaje
ze siebie od spodu korzonki, od góry zaś łodygę, słabą,
kanciasto-okrągłą, przeważnie dwoma jajowato-
lancetowatymi liśćmi zaopatrzoną. Przykwiatki
małe. Listki okwiatu lancetowate, tępe; warzka rów-
nież tępa, przewrócona, często z 2 bocznymi wy-

cięciami, delikatnie karbowana. Ostrogi brak. Ca-
ła roślina barwy żółtawo-zielonej.

Kwitnie w lipcu.

Ze starszych autorów podają go: Jastrzę-
bowski koło Zamościa, Konina, Buska; Waga w pow.
gostyńskim; Karo — koło Siedlec. Z nowszych au-
torów nikt tych stanowisk nie potwierdza.

K. Szejnbok.

□□□□□□□□□□

Listy do Redakcyi.

I.

Szanowna Redakcyo!

Odnosnie do artykułu „Ze skarbów naszej
przyrody” (№ „Ziemi” 21 r. 1911 str. 333) donoszę,
że: Buławnik wielkokwiatowy znalazłem w r. 1897
w miesiącu maju na Łysej górze (419 m) w do-
brach Krzeszowicach hr. Potockich.

Łysa góra położona jest pod 50° 8' północ-
nej szer. a 37° 20' wschodniej długości—leży
mniej więcej pośrodku miejscowości: Dubie, Sie-
dlce, Żbik, Czatkowice, Czarna, Dębnik, Żary,
niedaleko granicy Król. Polskiego, gub. kielec-
kiej, miejscowości Raclawice i Szklary.

W Galicyi kwitnie roślina ta widocznie
wcześniej niż w Królestwie Pol., gdzie p. K. Szejn-
bok podaje jako kwitnącą w czerwcu.

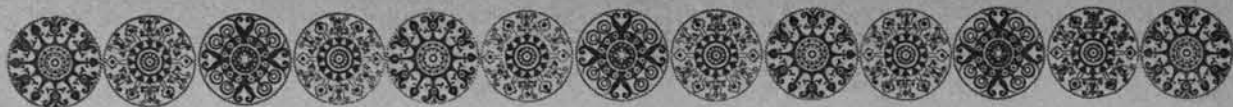
Z wysokiem poważaniem

Dr. Ferdynand Wilkosz.

II.

Otrzymałmy od członka korespondenta Tow.
Krajoznawczego p. Bohdana Bielińskiego z Koroštenia
(Iskorość) na Wołyniu następujące informacje.

Różanecznik ludność rusińska nazywa niekiedy
bahunem (gdzieindziej—na Podlasiu, w Suwalszczy-



źnie *bahunem* zwą *bagno* Ledum palustre), ludność zaś polska *bagienkiem*.

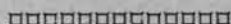
Zauważono że „bagienko w wielu miejscowościach zakreślonych kołem przez p. Hryniewieckiego już się nie znajduje. W okolicach Żytomierza i Pulin niema go. Przy trakcie z Żytomierza do Owrucza, jak również w pasie od traktu tego w lewo i prawo 10 wiorst szerokim niema go wcale. P. Hryniewiecki wspomina że bagienko rośnie w Ośnikach, a ś. p. R. Sobkiewicz widział ten krzew w Skołubowie;— są to 2 miejsca najbliżej leżące Żytomierza.

Prawdopodobnie było to przed kilkudziesięciu laty i ludzie karczując lasy i bagienko wycięli. Zauważyć można, że bagienko rośnie tylko w okolicach leśnych. Czy w miejscu bezleśnem bagienko samo gi-

nie, czy ludzie je trzebią, to nie zostało jeszcze wyjaśnione.

Na wschód od traktu, wiodącego z Żytomierza na północ,—do Owrucza—bagienka niema. Na zachód—granica bagienka zaczyna się od m. Uszomierza, gdzie rośnie w lasach. A ponieważ lasy te zostały wycięte i będą w krótkim czasie rozparcelowane pomiędzy włościan, więc i granica bagienka prawdopodobnie przesunie się dalej na zachód. Od Uszomierza na zachód t. j. ku Rokitnie ilość tych krzewów wzrasta.

W okolicy Iskorości lasy przed kilkudziesięciu laty zostały wycięte i bagienka nigdzie spotkać nie można miejscowi włościanie również go tu nie znają”.



Z Polskiego Tow. Krajoznawczego.



Jak potrzebny i pożądany był Oddział w Zagłębiu Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, wnioskować można z rozwoju i ożywionej działalności tegorocznego Zarządu. Po zmianach, zaszych z powodu rezygnacji nie-

których członków Zarządu obecnie prezydium składa się z prezesa p. A. Sujkowskiego, viceprezesów B. Jasińskiego i J. Drzewieckiego, sekretarza W. Wolińskiego, zastępcy E. Komaniewskiego, skarbnika A. Ujazdowskiego, zastępcy W. Wasilkowskiej, kustosza S. Strzeszewskiego. Zarząd zatem składa się z 6 członków, 6 zastępców i 7 przedstawicieli sekcji: wycieczkowej, fotograficznej, statystycznej, przyrodniczej, popularyzacji krajoznawstwa, odczytowej i dochodów niestałych.

Wynajęty został tymczasowy lokal na biuro Towarzystwa w Sosnowcu przy ulicy Głównej Nr. 14.

W roku bieżącym dotąd przybyło 160 nowych członków; do kasy wpłynęło około 900 rubli, z czego wydatkowano około 650.

Kustosz pracuje nad skompletowaniem i uporządkowaniem zbiorów geologicznych Muzeum Oddziału. Zainicjowano urządzenie w Sosnowcu stacji pluviome-

trycznej, a sprawa wydania monografii Zagłębia z mapą powoli lecz stale posuwa się naprzód. Zarząd zajmuje się głównie sprawami administracyjnymi, najżywością zaś działalność przejawia się w sekcjach, w których pracuje znaczna część członków Zarządu.

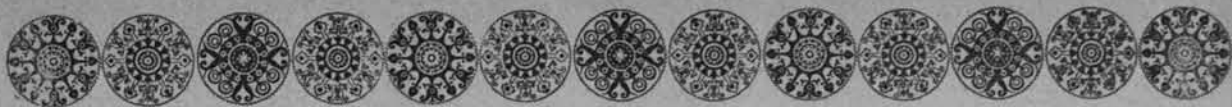
Sekcja wycieczkowa w czerwcu urządziła następujące wycieczki: w d. 4 i 5 czerwca na wystawę do Włocławka i do Ciechocinka, wzięło udział 9 osób, prowadził p. J. Drzewiecki. Wycieczka, powitana na stacyi przez p. Olszakowskiego, udała się na wystawę, gdzie spotkała wycieczkę Oddziału Łódzkiego. Po zwiedzeniu wystawy nastąpił wspólny obiad, podczas którego kierownik wycieczki w krótkim przemówieniu podkreślił

znaczenie wystawy i zasług Oddziału Kujawskiego dla krajoznawstwa, oraz zaprosił Oddziały do zwiedzenia tak ciekawego pod wieloma względami Zagłębia. Po obiedzie zwiedzono katedrę, seminaryum z bogatymi zbiorami, park, oraz most na Wiśle. Po przenocowaniu wyjechano do Ciechocinka, gdzie zwiedzono łaźienki, tężnie i warzelnie soli. Wieczorem wycieczka wyjechała z powrotem.

W tymże terminie wyruszyła z Zagłębia druga wycieczka górników z Saturna do Warszawy; osób 47 prowadziła p. Marya Drzewiecka; wycieczkowicze zwiedzili Stare Miasto, Bielany, teatr Nowości, zbiory T-wa Krajoznawczego, halle, wystawę obrazów, filtry, pałac w Łazienkach, Powązki, Wystawę Starej Warszawy i Dynasy, skorzystali z nader uprzejmej gościnności Centrali, za co



GÓRNIK W UNIFORMIE.



są niezmiernie wdzięczni. Wycieczka ta zrobiła bardzo dodatnie wrażenie, szerząc zamiłowanie do idei krajoznawczej w sferach robotniczych.

W dniu 18 czerwca urządzona została wycieczka do Potoku Złotego wyłącznie dla robotników Wydziału Mechanicznego z kopalni Niemce. Osób 30 prowadził p. J. Drzewiecki. Zwiedzanie Potoku z pogadanką kierownika bardzo się podobało uczestnikom wycieczki, którzy poprosili zaraz o drugą podobną wycieczkę w najbliższym czasie. W przemówieniu swym jeden z uczestników wyraził hołd Towarzystwu, które nie szczędząc trudów szerzy tak wzniosłe idee, zachęcając ogół do wypełniania obowiązku poznawania własnego kraju.

W dniu 24 czerwca wyruszyła 10-dniowa wycieczka przeważnie uczniów Będzińskiej szkoły Handlowej w Łysogóry, do Sandomierza, Puław, Lublina, Kielc i Chęcina. Osób 40 prowadził p. Reichert.

25 czerwca urządzona została wycieczka do Krzeszowic i Czerny. Osób 67 prowadziła p. M. Drzewiecka. Dzięki uprzejmości Administracji dobr. hr. Potockich zwiedzono park, ogrody, oranżeryę, stajnie, tor wyścigowy, obory, starą wozownię z pamiątkowymi pojazdami, łazienki siarczane i kościół, poczem udano się pieszo do Czerny dla zwiedzenia klasztoru karmelitów bosych, pustelni Firlejowej, mostu i doliny Eliasza. Wycieczka była podejmowana śniadaniem przez administrację dobr. hr. Potockich ze staropolską gościnnością za co, jak również za uprzejme objaśnienia Oddział składa serdeczne podziękowanie pp. Kriegseisenowi, Reichardowi, Pacucie, Wojtychowi i Sieprawskiemu.

Dnia 9 lipca wyruszone do Kamienicy Polskiej i Olsztyna. Osób 30 prowadził p. J. Drzewiecki. Dzięki uprzejmości zawiadowcy kopalni, p. Mianowskiego, wycieczka udała się kolejką konną do kopalni rudy żelaznej w Kamienicy. Po zwiedzeniu Kamienicy zapoznano się tu ze sposobem wyrabiania tkanin płóciennych i bawełnianych na domowych warsztatach tkackich. Ta niezmiernie korzystna dla mieszkańców Kamienicy kooperatywa tkacka istnieje zaedwie od roku i dzięki nieustającemu wysiłkowi prezesa związku, ks. Sędzimira, w roku bieżącym miała już 80,000 rb. obrotu przy 5,000 kapitału zakładowego. Wyrobu związku „Tkacz” konkurują z powodzeniem na rynkach w Królestwie i Cesarstwie z wyrobami najpoważniejszych fabryk, a gatunek ich został odznaczony na wystawie w Warszawie. Powołany do życia w tak trudnych warunkach przemysł domowy wywarł na wycieczkowiczach nader dodatnie wrażenie. Stamtąd udano się końmi do Olsztyna dla zwiedzenia ruin i grotty, poczem powrócono do Sosnowca.

W dniu 30 czerwca Oddział przyjmował wycieczkę Szkoły Handlowej z Kalisza pod kierunkiem p. Bzowskiego. Ułatwiono jedynie zwiedzenie Huty Katarzyny i kopalni Miłowic, gdyż zbyt krótki czas przeznaczony w programie dla Zagłębia, nie pozwolił na bardziej szczegółowe zwiedzanie. Po wspólnej herbacie delegaci Oddziału w osobach pp. Drzewieckich i Wasilkowskiej odprowadzili uczestników na stacyę, polecając się na przyszłość.

Projektowane są następujące wycieczki: 16, 17, i 18 lipca do Białowięzy, 23 lipca do Sławkowa i okolic,

30 lipca do Rabsztyna, 13, 14 i 15 sierpnia do Ojcowa i 13, 14 i 15 sierpnia do Warszawy, 26, 27 i 28 sierpnia w Łysogóry, 8, 9 i 10 września Wisłą do Płocka, 24 września do Piotrkowa.

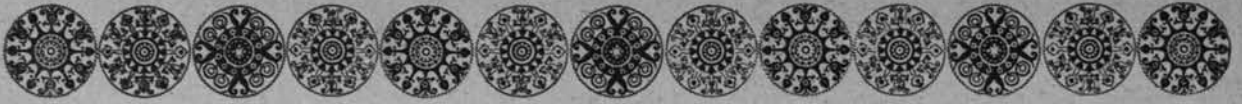
Sekcja fotograficzna, biorąc udział we wszystkich wycieczkach, gorliwie pracuje nad kolekcjonowaniem widoków, typów i krajobrazów, jak również zajmuje się wyrobem przezroczycy, których jest już pokaźna liczba. Sekcja weźmie udział w projektowanej wystawie „Krajobraz Polski”. W celu zachęcenia amatorów i zebrania jak największej liczby zdjęć sekcyja ogłasza konkurs fotograficzny na warunkach niżej podanych (patrz Nr. 1).

Sekcyja przyrodnicza ogłosiła 2 konkursy przyrodnicze dla uczącej się młodzieży (patrz Nr. 2).

Sekcyja odczytowa w roku bieżącym urządziła 3 odczyty publiczne, zapraszając na prelegentów pp. Sawickiego, Romera i Wisznickiego. Wobec powodzenia, jakim się cieszą w Zagłębiu odczyty krajoznawcze, na jesieni zamierzone jest urządzenie odczytów co 2 tygodnie. Prócz tego sekcyja w czwartki urządza zebrania członków, na których wygłaszane są pogadanki. W roku bieżącym p. A. Sujkowski kontynuował o geografii ziem polskich, prócz tego wygłosili pogadanki p. d-r J. Młodowska o ptactwie przelotnym, p. Kozielecki o wiosnie w przyrodzie, p. Warchoł o instynkcie u zwierząt, p. A. Piwowar o węglu, p. Telakowski o stylach w architekturze, p. Kaczyński o osadnictwie pierwotnym, p. Przesmycki o Jurze Krakowskiej, p. Drzewiecki Józef o wycieczkach krajoznawczych. Zebrania te cieszyły się dużym powodzeniem i po przerwie wakacyjnej będą wznowione.

Konkurs Fotograficzny Oddziału Zagłębia.

1. Format. Najmniejszy format 9×12 (uwzględnić się powiększenia).
2. Ilość. Najmniej 6 sztuk: 3—stare zabytki, 3 lub więcej, —typy, obyczaje, obrazki rodzajowe i t. d.
3. Papier. Bez różnicy.
4. Odbitki. Winny być naklejone na kartony i opatrzone na odwrotnej stronie g o d ł e m.
5. Nazwisko będzie wymienione w zaklejonej kopercie, opatrzonej godłem i złożonej w Zarządzie Oddziału.
6. Termin nadsyłania prac do 1-go października 1911 roku.
7. Komisya składać się będzie z 5 osób kwalifikujących prace i nie należących do Zarządu Sekcyi fotograficznej, a mianowicie:
2 członków Sekcyi, wybranych przez Zarząd też; 1 zawodowego fotografa; 1 nieczłonka T-wa decydującego o stronie artystycznej zdjęć; 1 członka Zarządu Oddziału;
8. Nagrody wyznacza się za najlepsze 3 prace: 1-sza — żeton złoty, 2-ga żeton srebrny, 3-cia — list pochwalny.
9. Kopertry z godłami zostaną otwarte przez Komisję w celu ujawnienia nazwisk po przyznaniu nagród.
10. Fotografie nadesłane po zakwalifikowaniu przez Komisję zostaną wywieszane w lokalu T-wa na przeciąg miesiąca.



11. Z każdego nadesłanego kompletu, który został wywieszony w lokalu, 6 odbitek według wyboru komisji przechodzi na własność Oddziału P. T-wa Krajoznawczego w Zagłębiu bezinteresownie, za wyłączeniem powiększeń, co do których uzyskać należy zgodę właściciela.

12. Do udziału w konkursie i w nagrodach mogą stawać członkowie T-wa i osoby obce, za wyłączeniem zawodowców, którzy mogą nadsyłać prace na warunkach podanych bez prawa ubiegania się o nagrody.

13. O warunkach i terminach konkursu ogłosi się w pismach miejscowych.

14. Prace nadsyłać należy pod adresem sekretarza Oddziału P. Józefa Drzewieckiego w Sosnowcu, ul. Swobodna dom Strzałkowski.

Uwaga. Każda odbitka winna mieć na odwrotnej stronie treściwe objaśnienie, co mianowicie oznacza.

Konkurs przyrodniczy dla młodzieży.

Pragnąc obudzić, rozwinąć i zwrócić na właściwe tory tkwiące w młodzieży zamiłowanie do kolekcjonowania tworów przyrody, sekcja przyrodnicza Oddziału w Zagłębiu P. T-wa Krajoznawczego niniejszem ogłasza 2 konkursy wakacyjne.

I. na zbiór owadów wszystkich rzędów

II. na zielnik

Ponieważ sekcji chodzi o to, aby konkurs był jak najpopularniejszy i mógł ogarnąć jak najszersze koła początkujących amatorów-kolekcjonistów, przeto redukcję swych wymagań posuwa ona tak daleko, że nie mówiąc o uwzględnieniu tła biologicznego nie wymaga nawet określenia gatunku, obowiązuje natomiast i przedewszystkiem czyste i staranne prowadzenie zbiorów.

Nie należy się kłopotować zbyt dużą liczbą osobników poszczególnych gatunków. Zbiory najliczniejsze będą miały pierwszeństwo, uwzględniać przytem, a może przedewszystkiem należy okazać pospolite i mniej okazałe. Sekcja wyznacza 2 nagrody dla każdego działu.

Dla działu entomologicznego.

I. nagroda: Komplet przyrządów do zbierania i kolekcjonowania owadów.

II. książki: B. Dyakowskiego Atlas motyli krajowych i Klucz do oznaczania zwierząt kręgowych ziem polskich, wydany staraniem kółka przyrodniczego uczniów pod redakcją Hoyera.

Dla działu botanicznego:

I. nagroda: Wilkosz Atlas państwa roślinnego.

II. Komplet przyrządów do zbierania roślin.

Termin składania zbiorów — 1 października 1911.

Adres. Dyrektor Szkoły Handlowej, Będzin, i J. Drzewiecki, Swobodna 6, w Sosnowcu.

Zbiory nie wycofane do 1 listopada przechodzą na własność T-wa. W konkursie może brać udział ucząca się młodzież płci obojgi.

□□□□□□□□□□

Przebieg pogody w m. Czerwcu 1911 r.

Sprawozdanie Wydziału Meteorologicznego P. T. K.

Czerwiec tegoroczny należał do umiarkowanie ciepłych i niezbyt dżdżystych. Pierwsze dni miesiąca sprawozdawczego odznaczały się pogodnym stanem nieba, a temperatury ranne spadały dość znacznie, zniżając się (w dn. 2 czerwca) w niektórych miejscowościach niemal do punktu zamrażania. Podobny, choć nieco mniejszy, spadek w ciągu nocy obserwowano także w d. 11 i 12, a również w dn. 17 i 18 ubiegłego miesiąca. Temperatury popołudniowe nie dochodziły w ciągu tych chłodnych dni do 20° i dopiero w okresie bardziej upalnym, który się uwydatnił między 25 i 28 czerwca, przekraczały na wielu stacyach 30° C.

Średnie temperatury miesięczne wahają się przeważnie w granicach od 15 do 16 stopni i są koło 1₀ niższe od odpowiednich wartości normalnych.

Obfitsze deszcze spadły koło 9 czerwca, a także w okresie chłodniejszym od 13 do 21 tegoż miesiąca. Rozkład opadów wykazuje maximum w powiatach południowych Królestwa, gdzie spadło 60 do 80 mm. Mniejsze stosunkowo opady (20 do 40 mm) wystąpiły w ziemi warszawskiej i siedleckiej. Wysokość przeciętna dla Królestwa wynosi 47 mm. (w r. 1910—71 mm.).

Według spostrzeżeń heliograficznych z Siłniczki, z Przegalin oraz z Jędrzejowa, gdzie heliograf systemu Cambella został świeżo zainstalowany przez dra F. Przypkowskiego, usłonecznienie za czerwiec r. b. wyniosło w sumie miesięcznej koło 270 godzin, co odpowiada przeciętnie 9 godzinom dziennie ze słońcem niezakrytem przez chmury.

a) Temperatura:

Nowa Słupia: Temp. średnia 16°0; temp. maximum 30°8 C. dnia 26 czerwca, temp. minimum 4°7 C. dnia 2 czerwca.

b) Opady:

	Suma mies.	Liczby dni za mies.
Bieliny (p. kielecki)	—	—
Św. Krzyż „	100	12
Nowa Słupia „	86	13
Suchedniów „	68	13
Jędrzejów, p. jędrzejowski	76	11
Wysokie, p. krasnostawski	62	10

WRESC: S. Matusiak.—Soboty i sobótki.—Stanisław Lencewicz.—Przez Wyżynę Małopolską; (z 2 ryc.);—Bolesław Łazarzski.—Wejście w ziemie na szczyt Rysów, (z 4 ryc). Władysław Umiński—U źródeł Wisły; Dr. Eugeniusz Romer—Japonia i japończycy: (z 1 ryc.) Ze skarbów naszej przyrody.—Listy do Redakcyi.—Z Polskiego Tow. Krajoznawczego. Poza tekstem: Z Naszych krajobrazów: 32. Z pow. winnickiego

Winięty tytułową i ozdoby w tekście rysował Mikołaj Wisznicki.—Odbito w tłoczni Piotra Laskauera.—Składał i łączył Edward Gzik.—Odbijał na maszynie Aleksander Grzegolowski.—Kłiszę wykonano w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki.—Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwiec